

# Heysel

ze Stefanem Szczepłkiem

rozmawiają Adam Adamczyk i Tomasz Zarębski

fot. Paweł Matysiak



Wokół rozlegały się krzyki i nawoływania, na ziemi leżały przykryte prześcieradłami zwłoki. To był krajobraz po bitwie: potłuczone szkło, flagi mające wspomagać doping kibiców Juventusu, roztrzaskane ławki, odłamki rozwalonego muru. Jednak najbardziej przerażający był widok porzuconych dziecięcych plecaków...

29 maja 1985 roku to dzień, którego z pewnością nie zapomni Pan do końca życia...  
...dzień finałowego meczu Pucharu Europy, pierwszy taki mecz, który miałem obejrzeć na żywo. Byłem bardzo podekscytowany. Dwie utytułowane, wspaniałe, można rzec – legendarne drużyny, wielki stadion, tłumy kibiców. Krótko mówiąc, piłkarskie święto. Tak to sobie wyobrażałem. Moje sympatie były podzielone, bo choć od lat kibicowałem Liverpoolowi, to przecież tamten Juventus miał w swoim składzie Michela Platinię, Paolo Rossiego, no i przede wszystkim Zbigniewa Bońka, stojącego przed szansą, by zostać pierwszym w historii polskim piłkarzem, który zdobędzie najcen-

Heysel – stadion wybudowany w Brukseli w latach 30. XX wieku. Od 29 maja 1985 roku nazwa ta na stałe weszła do słownika kultury masowej i funkcjonuje jako synonim niebezpieczeństwa związanego z przemocą stadionową. Przed finałowym meczem Pucharu Europy doszło do starć pomiędzy angielskimi i włoskimi kibicami, w wyniku których śmierć poniosło 39 osób, ponad 600 osób było rannych. Stadion wyburzono przed piłkarskimi mistrzostwami Europy w 2000 roku, a w jego miejscu wybudowano nowoczesny obiekt sportowy, nazwany imieniem króla Baudouina I. Pozostała pamięć o nazwie i tablica pamiątkowa.

niejsze klubowe trofeum Starego Kontynentu. I tak się zresztą stało, lecz tamten mecz w ogóle nie powinien się odbyć...

Do Brukseli przyleciałem dzień wcześniej, czyli 28 maja. Z lotniska odebrał mnie Stanisław Gzil, świetny piłkarz występujący między innymi w GKS Katowice i Górniku Zabrze, który w roku 1979 wyjechał do Belgii, by tam kontynuować sportową karierę. U niego nocowałem z wtorku na środę. Pomeczowy nocleg zapewnił mi z kolei reżyser Janusz Kijowski. W połowie lat 80. każdy dolar był na wagę złota, więc takie znajomości i przyjaźnie stawały się nieocenione.

Tego samego dnia Bruksela przeżywała prawdziwy najazd włoskich i angielskich kibiców. Użyłem słowa „najazd”, lecz w zachowaniu tak jednych, jak i drugich trudno było doszukać się wojowniczych nastrojów. W pełnej komitywie opanowali centrum miasta, rozsiedli się w pubach, kawiarniach, w parkach i na placach, żłopiąc piwo, śmiali się, żartowali, zagrzewali do boju swoich piłkarskich idoli. W powietrzu rozbrzmiewały chóralne śpiewy. Tak prezentował się zabytkowy Grand Palace, gdy postanowiłem przespacerować się po belgijskiej stolicy. To była atmosfera zabawy, nawet jeśli zawody w pozbywaniu się nadmiaru wyprodukowanego moczu trudno uznać za wyrażony jej przejaw. Nietrudno się zresztą domyślić, że słynny brukselski chłopczyk nie miał w tej rywalizacji żadnych szans. Pamiętam, że niektórzy kibice, zwłaszcza angielscy, zdecydowanie przesadzali z ilością piwa, kładąc się pokotem na bruku, gdy napojony do granic możliwości organizm odmawiał posłuszeństwa. Wszędzie walały się porozbijane butelki, lecz nie dochodziło do bójek i awantur – ja przynajmniej nic takiego

nie zaobserwowałem.

29 maja udałem się na stadion Heysel jakies dwie i pół godziny przed meczem. Także więk- +

szość kibiców zajęła już miejsca na trybunach. Mecz miał się rozpocząć o godzinie 20.15, ale wcześniej, o 18.15, miał się odbyć mecz trampkarzy. Jednak gdy młodzi zawodnicy wybiegli na murawę, ich zmagania nikogo, praktycznie rzecz biorąc, nie interesowały. Oczy wszystkich obecnych na Heysel skierowane były na trybunę złożoną z trzech sektorów, oznaczonych literami X, Y i Z. W pierwszym z nich znajdowali się Anglicy, w trzecim – Włosi. Pośrodku były miejsca przygotowane dla Belgów, lecz ci, widząc, co się święci, szybko uciekli. Rozpoczynał się prawdziwy dramat.

Najpierw w stronę sympatyków Juventusu poleciały kamienie, butelki i odpalone petardy. Do tego prowizorycznie przygotowanego arsenału niebawem dołączyły drewniane ławki i metalowe pręty wyrwane ze zniszczonego płotu. Zdobyte uzbrojenie ośmieliło Anglików na tyle, że postanowili przypuścić szturm. Tłum rozwścieczonych, pijanych bandytów ruszył w stronę Włochów. Ci nie tylko byli zaskoczeni takim rozwojem wypadków, lecz przede wszystkim nie mieli dokąd uciekać. We włoskim sektorze zapanował całkowity chaos. Jedni uciekali, inni – nieświadomi zagrożenia, nadal wchodzili na trybunę. Tymczasem liverpoolczycy próbowali dopaść sympatyków Juventusu, coraz bardziej słoczonych przy murze uniemożliwiającej ucieczkę. Bili ich czym popadło: pięściami, prętami, fragmentami ławek, kamieniami. Mur nie wytrzymał naporu setek ludzi i w końcu runął, powodując śmierć kilkunastu osób.

Ale w tamtej chwili, między 19.00 a 19.30, nie byłem świadomy, co dokładnie się wydarzyło. Podobnie zresztą jak większość zgromadzonych na Heysel. Z dzisiejszej perspektywy słowa spikera nawołującego do powrotu na miejsca wydają się kuriozalne. Lecz wtedy on również nie wiedział o rozmiarach tragedii. O tym, że stało się coś straszego, z minuty na

minutę przekonywał widok noszy, sanitariuszy, wycie syren karettek pogotowia i krążące nad stadionem helikoptery. Opuściłem prasową ławkę i zbiegłem na bieżnię. Moim oczom ukazał się przerażający widok. Jeden z włoskich kibiców leżał tam z udem przebitym prętym, wokół niego zaś uwijali się lekarze próbujący udzielić pomocy. Próbowałem się przedostać do włoskiego sektora Z, ale nie zostałem przepuszczony. Wokół rozlegały się krzyki i nawoływania, na ziemi leżały przykryte prześcieradłami zwłoki. Na trybunę udało mi się wejść od drugiej strony. To był krajobraz po bitwie: potłuczone szkło, flagi mające wspomagać doping kibiców Juventusu, roztrzaskane ławki, odłamki rozwalonego muru. Jednak najbardziej przerażający był widok porzuconych dziecięcych plecaków...

Jak w tej sytuacji zachowywała się policja?

Kiedy w stronę kibiców Juventusu poleciały „pociski” z butelek, kamieni i petard, policja nie interweniowała. Sądzę, że funkcjonariusze byli po prostu zaskoczeni, a już na pewno nie spodziewali się dalszej eskalacji tego pierwszego „incydentu”. W zasadzie policja pozostawała niewidoczna, co mogło sprawić, że bandyci poczuli się zbyt pewni siebie. Nawet w chwili gdy ruszył angielski szturm, policja nie podjęła żadnych sensownych działań, ale... uciekała razem z Włochami!

Oczywiście, kiedy sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, bo do walki ruszyli również kibice z Turynu zgromadzeni w sektorach po drugiej stronie boiska, policja nie powinna dłużej unikać konfrontacji. A mimo to nadal jej unikała! Przypominam sobie widok zupełnie niezwykły. W pewnym momencie pojawiła się konnica, lecz zamiast zabrać się do usuwania przebywających na boisku i bieżni kibiców, jedynie przejechała przed trybunami, w nienagannym, jakby defiladowym kłusie. Nie można jednak mieć pretensji do tych policjantów,

którzy znaleźli się na Heysel. Głównym problemem było fatalne dowodzenie. Dość powiedzieć, że kierujący akcją oficer nie był obecny na stadionie, a minister spraw wewnętrznych zajmował się obgryzaniem paznokci we własnym domu i, gapiąc się w telewizor, kontemplował własną nieudolność. Można to nazwać paralizmem organizacyjnym, którego źródłem byli najważniejsi decydenci.

Po latach niestychane wydaje się to, że mimo tragedii mecz rozegrano...

Decyzja o tym, aby piłkarze – mimo setek rannych i kilkudziesięciu zabitych kibiców – rozegrali mecz, była skandaliczna. Władze UEFA tłumaczyły później, że odwołanie meczu mogłoby jeszcze bardziej rozwścieczyć publiczność. Futbolowi bonzowie dziwnym trafem nie pomyśleli, że mecz przebiegający niezgodnie z oczekiwaniami jednej z grup kibiców – co zdarza się przecież niemal każdorazowo podczas piłkarskiej rywalizacji – może doprowadzić do tego samego.

Samą grę poprzedziły jednak inne wydarzenia z udziałem zawodników. Marco Tardelli, Antonio Cabrini, Sergio Brio i Luciano Favero wyszli na płytę boiska i próbowali uspokoić swoich kibiców, z kolei kapitan Juventusu Gaetano Scirea komunikował się z nimi za pośrednictwem stadionowych głośników. Podobnie postąpił kapitan Liverpoolu Phil Neal. Świadczy to, rzecz jasna, o kompletnej bezradności organizatorów meczu i sił bezpieczeństwa. Swoją drogą, jedyną policyjną interwencją zakończoną powodzeniem było tamtego wieczoru odebranie kilku włoskim kibicom transparentu z napisem „Red Animals”, który ci, po blisko trzech godzinach krwawego kosmaru, postanowili zaprezentować sympakom Liverpoolu.

W końcu zawodnicy wyszli na boisko. Lecz chyba wszyscy z nich czuli, że granie w piłkę jest w tej sytuacji skończonym idiotyzmem.

Zbigniew Boniek ujął to tak: „Wielu z tych, którzy ponieśli śmierć lub zostali ranni, było znanych piłkarzom Juventusowi. Nie chciało nam się grać w takiej sytuacji, ale nie mieliśmy wyjścia”. Trudno się temu dziwić. Grać dla bandziorów tylko dlatego, żeby ich nie drażnić? Piramidalna bzdura! Honorowo, jak się wydaje, postąpiła niemiecka stacja ZDF, przerywając wtedy transmisję.

To był dziwny i raczej słaby mecz. Obydwie drużyny przesadnie się szanowały, piłkarze byli wyraźnie spięci, jakby nieustannie towarzyszył im strach, że prawdziwa, męska gra sprowokuje publiczność do kolejnych burd, które przyniosą następne ofiary. W 57. minucie spotkania zagrana przez Michela Platinię piłkę umiejętnie opanował Zbigniew Boniek. W towarzystwie pary angielskich obrońców zagrał sobie piłkę głową i pędził ile sił w nogach w kierunku bramki Bruce’a Grobbelaara. Gary Gillespie nie widział innego wyjścia i sfaulował polskiego napastnika. Szwajcarski sędzia, André Daina, podyktował rzut karny. Jednak przewinienie miało miejsce jeszcze przed linią 16. metra. Arbiter podtrzymał swoją błędną decyzję i po chwili Michel Platini pewnym strzałem wyprowadził mistrzów Włoch na prowadzenie.

W 75. minucie meczu miała miejsce kolejna kontrowersyjna sytuacja. Ronnie Whelan został w narożniku pola karnego Juventusowi sfaulowany przez Luciano Favera. Liverpoolowi należała się jedenastka, ale sędzia był innego zdania. Przewagę jednego gola Juventus utrzymał do ostatniego gwizdka, zdobywając tym samym Puchar Europy. Po meczu udałem się do szatni zwycięzców, gdzie miałem okazję potrzymać przez chwilę cenne trofeum. To było niezwykle uczucie, gdy radość futbolowego pasjonata mieszała się ze smutkiem świadka ogromnej tragedii.

Czy arbiter celowo wypaczył wynik spotkania?

Rozgłaszano takie pogłoski, trudno jednoznacznie +

nie powiedzieć, czy na pewno fałszywe. Pisała o tym prasa, dyskutowali kibice i dziennikarze. No i faktycznie, dwie jedenastki – ta, której nie było, zamieniona na gola, i druga ewidentna, której sędzia nie podyktował; to daje do myślenia. Spekulowano, czy decyzje sędziego nie miały stać na straży „sprawiedliwości”, by nie dopuścić, aby trofeum zdobyła drużyna, której kibice okazali się mordercami. Tak czy owak, UEFA wszystkiemu zaprzeczyła. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę, bo sędzia André Daina, zresztą w mojej obecności, doznał zawału w trakcie meczu Urugwaj–Szkocja podczas meksykańskiego mundialu i całkowicie wycofał się z futbolowego światka.

Dlaczego, Pana zdaniem, na Heysel doszło do tragedii?

To trudne pytanie. Przyczyn można poszukiwać na wielu różnych, niekoniecznie wykluczających się, lecz raczej komplementarnych poziomach. Jeszcze dzień przed meczem, podpatrując z bliska zachowanie włoskich i angielskich kibiców, nie dostrzegałem agresji czy wzajemnej nienawiści. Jak już mówiłem, nie dochodziło do bójek lub choćby przepychanek. Było powszechnie wiadomo, że Juventus i Liverpool nigdy nie miały ze sobą na pieńku. Znane są animozje pomiędzy kibicami wielu drużyn, które ciągną się latami, jak choćby w przypadku Realu Madryt i Barcelony, AC Milan i Interu Mediolan, Legii Warszawa i Lecha Poznań. Zazwyczaj, choć nie jest to regułą, dotyczy to klubów z tego samego kraju. W wypadku finału w roku 1985 nie było żadnych przesłanek, by takie kwestie brać pod uwagę. Niepokojące, jak widzę to z dzisiejszej perspektywy, były hektolitry spożywanego alkoholu, w czym celowali zwłaszcza Anglicy. Można zakładać, że fani Liverpoolu, którzy przybyli 28 maja na Heysel, nie trzeźwili od dobrych dwóch, trzech dni. Ich świadomość musiała być silnie zniekształcona. Pojedynczy

człowiek pijący kolejny dzień z rzędu zbyt duże ilości alkoholu na wiele sytuacji reaguje nadpobudliwie. Często staje się butny, drażliwy, łatwo wyprowadzić go z równowagi. To co dopiero powiedzieć o tysiącach kompletnie nawalonych kibiców? W takich okolicznościach niewiele trzeba, aby wzniecić agresję i przenieść ją na kibiców przeciwnej drużyny. Myślę, że w wymiarze psychospołecznym to właśnie się stało na Heysel. Zadziałała psychologia pijanego tłumu.

Takie wyjaśnienie, odwołujące się po prostu do „czynnika alkoholowego”, nie wyczerpuje jednak tematu. Bo przecież nie wszyscy na stadionie byli pijani w sztok. Włoscy kibice, kochający futbol i dobrą zabawę nie mniej niż Anglicy, byli z pewnością bardziej trzeźwi i nie zachowywali się aż tak agresywnie. To przecież nie oni rozpoczęli wojnę na trybunach. A więc dlaczego zaczęli Anglicy?

Pamiętam, że wracając do Polski, byłem przekonany, iż mam świetny dziennikarski materiał. Wydarzenia na Heysel były oczywiście wielką tragedią, ale skoro dane mi ją było zobaczyć na własne oczy, pomyślałem o możliwościach, jakie daje mi to w pracy zawodowej. Tymczasem krajowa prasa już zdążyła z całej sprawy uczynić propagandowy młotek. Heysel ukazano jako arenę walki klasowej ciemniejszego zachodnioeuropejskiego proletariatu – zwłaszcza brytyjskiego – z wyzyskiwaczami, których symbolizowała liberalno-konserwatywna premier Margaret Thatcher. Odechciało mi się wtedy pisanie. Popełniłem tylko jeden tekst, opublikowany na łamach „Piłki Nożnej”. Niemniej jednak, po blisko 30 latach, poszukiwanie przyczyn na poziomie socjologicznym nie wydaje mi się strategią złą, choć propagandowe treści z połowy lat 80. nadal mnie irytują. Warto zauważyć, że Wielka Brytania tamtego czasu nie była bynajmniej krajem spokojnym. Pod wodzą Żelaznej Damy rząd wprowadzał reformy, które spotykały się z protestami wie-

lu grup społecznych. Szczególnie dotyczyło to robotników przemysłowych. Przez kraj co i rusz przetaczały się fale strajków, na ulicach rzesze protestujących głośno wyrażały swoje niezadowolenie. Na pozytywne efekty reform trzeba było czekać latami, a ludzie czekać nie chcieli. Rosły frustracja i złość, z którymi trzeba było coś zrobić.

W takich okolicznościach masowe rozrywki wydają się nieocenione. Jeśli wszystko jest dobrze zorganizowane, igrzyska bezpiecznie kanalizują złe emocje i pozwalają na chwilę zapomnieć o chlebie. Jeśli jednak organizacja jest zła, a alkohol łatwo dostępny, zachowanie ludzi, kumulujących w sobie wściekłość, łatwo wymyka się spod kontroli. Wtedy mamy Heysel.

Tragedia na Heysel jest swoistą cezurą w historii futbolu. Co się zmieniło od tamtych dramatycznych wydarzeń?

Bezpośrednio po tamtym meczu konsekwencje poniosły angielskie kluby, których udział w rozgrywkach europejskich został zawieszony na pięć lat, a Liverpoolu nawet na sześć. Było to ważne posunięcie zarówno władz angielskiego futbolu, jak i UEFA, ponieważ spowodowało do podjęcia działań mających na celu zabezpieczenie imprez sportowych przed podobnymi zagrożeniami.

Wielka Brytania stała się forpocztą reform. Ze stadionów stopniowo znikaly wszelkie ogrodzenia utrudniające ewentualną ewakuację przebywających tam ludzi, likwidowano także miejsca stojące, a drewniane ławki zastępowano plastikowymi krzeselkami. Nie poprzestano jednak na modernizacji sportowych obiektów. Również zachowanie kibiców wzięto pod lupę, wprowadzając restrykcje za nieprzestrzeganie zasad bezpieczeństwa – to właśnie na Wyspach narodziły się kary pieniężne za wtargnięcie na płytę boiska oraz zakazy stadionowe dla najbardziej agresywnych i niebezpiecznych kibiców. Efekty? Cóż, wystarczy

w dowolny weekend obejrzeć transmisję meczu w angielskiej Premierleague i zobaczyć ją na własne oczy! Zresztą śladami Brytyjczyków podążyła cała Europa Zachodnia. I choć zagrożeń nie można zlikwidować w 100 procentach, to sytuacja przed i po Heysel to dwa różne światy.

Czy zmieniła się także mentalność kibiców?

Tam, gdzie wprowadzono zmiany dotyczące zasad bezpieczeństwa i unowocześniono stadiony – z pewnością tak. Wspomniałem przykładem jest tutaj zachowanie sympatyków Liverpoolu, kiedy ich drużyna w rozgrywkach Ligi Mistrzów trafiła w 2005 roku na Juventus Turyn. Kibice na trybunie „The Kop” stadionu Anfield Road postanowili z kartoników ułożyć napis „Amicizia” – Przyjaźń. Nadal jednak zadaję sobie pytanie, czy potrzeba było aż tak wielkiej tragedii, by zmienić futbol na lepsze? ●